

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:

Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno - literacki

Kondotjerzy w średniowiecznych Włoszech

Włoska historia średniowieczna! Istny kalejdoskop, mieszający wszelkie kolory — purpurową krew, majestatyczne złoto koron książęcych, szafirowy wiary, różowe odcienie miłości... Raz po raz nieubłagana dłoń przeznaczenia potrzęsa kryształkami — i raz po raz układają się one w nowy obraz. Gotowie, Longobardowie, Bizantyńczycy, Frankowie, Niemcy, sztandar świętego Marka i zaślubiny Wenecji z Adryatykiem... Świecka wielkość papieństwa, u którego stóp kaja się Henryk IV... Walki Gwelfów i Gibellinów... Barbarzyństwa prących na południe cesarzy... Saraceni na Sycylii... Okrucieństwa drobnych tyranów... Świetność naśladujących Rzym starożytny republik... Dante, piszący na wygnaniu swą nieśmiertelną Komedję... Uczni greccy, uchodzący pod rozsioloneczone niebo włoskie przed Turkami i niosący pochodnię odrodzenia... Jurne opowieści Boccaccia i sonety Petrarci... Rieni, ostatni trybun rzymski... Schizma kościelna... Sobory... No wy najazd barbarzyńców z północy... Macchiavelli i Cezar Borgia... Czyż to nie epopeja, jakiej równej niema w dziejach świata?

Trzeba przyznać faszystom, że pielęgnują tradycję i popierają badania ojczyj historii, kultury, literatury. Niejedna mało znana postać czy drobny stosunkowo epizod doczekały się już obszernej monografii. To też uczeni zwracają się chętnie ku średniowieczu, niewyczerpanej skarbnicy tematów, wskrzeszając dawno złożonych w kryptach i grobowcach, aby postawić ich przed oczyma potomnych.

Epoka kondotjerów

Jedną z księgarń turyńskich rozpoznała wydawnictwo, poświęcone kondotjerom, owym awanturnikom wodzom, którzy werbowali pod swe sztandary chciwych przygód i złota a gardzących życiem zabijaków, aby wynajmować się państwu, miastom i książętom. Epoka kondotjerów oznacza rozkład średniowiecznych Włoch nie tylko dlatego, iż przyniosła ustawiczne wojny bratobójcze, lecz także i przedewszystkiem dlatego, że dzielna niegdyś ludność nie chciała już walczyć o swą wolność, prawa czy interesy i wynajmowała do tego zawodowców. Taki stan rzeczy musiał zakończyć się niewolą. Zresztą łatwo do myśleć się, że owe dzikie bandy, żyjące z wojny, bywały okrutne dla spokojnych obywateli. Szczególnie niebezpiecznymi stawały się gdy zabrakło im zajęcia. Przetrwoniliwszy zarobione pieniądze, żyły ze zdzierstw, dopuszczając się gwałtów i bezwzględnie tłumiąc opór. Jest to więc epoka krwawa i burzliwa. Ale obfituje w bohaterские czyny, w objawy rycerskiej tężyzny, nieraz nawet w porwy wspaniałomyślności.

Z zapowiedzianej serii o kondotjerach wyszły dotychczas dwie monografie, poświęcone pierwszemu z nich, Alberigo da Barbiano (przez M. Vocina) i ostatniemu (przez V. E. Bravette).

Kondotjerzy obcy

W tym na firmamencie włoskim z wojny wiazdy rodzime, pojawił się

na półwyspie wojownicy cudzoziemscy. Było to w drugiej połowie wieku XIV. Wojna stuletnia, srożąca się we Francji, przygasała w r. 1360 i zawarto nietrwały pokój w Bretigny. Bandy najemników, których używali Anglicy i Francuzi, znalazły się chwilowo bez chleba. Powędrowały więc za Alpy, gdzie wstępowały w służbę dającego najwięcej. Wsławiła się t. z. Wielka Kompanja księcia Wernera von Urslingen, zwanego przez Włochów Guarnerim. Był to brutalny olbrzym, który szczył się tem, że wojuje ze słabymi, a na ryngrafie swym wypisał „Nieprzyjaciel Boga, litości i miłosierdzia“. Drugim, równym mu sławą wodzem wojowniczym przybłądów był Anglik Sir John Hawkwood, zwany Giovanni Acuto. Można w katedrze florenckiej oglądać go na fresku Paola Ucella. Służył na czele swej Białej Kompanji głównie papieżowi, który za zwycięstwa nadał mu pięć miast w Romanji. Odznaczał się odwagą i chytryością, a okrucieństwem jeszcze przewyższał Niemca. Jego rzezie w Faenzy i Cesenie wstrząsnęły na wet ówczesnem społeczeństwem, przyzwyczajonem do krwi rozlewu.

Alberigo da Barbiano

Barbiano pochodził z Romanji i uczył się sztuki wojennej w szkole Hawkwooda, lecz wystąpił z jego służby po rzezi w Cesenie. Jego włoskie serce wzdygało się na widok ojczyzny, zalanej krwią przez dzikich cudzoziemców. Barbiano postanowił stworzyć własną kompanję i wezwał pod swój sztandar przedewszystkiem rodaków z Romanji, oni też stanowili rdzeń jego oddziałów, w których składano przysięgę ścigania cudzoziemców bezwzględna nienawiścią i wypędzenia ich z kraju. Początkowo jednak walczył Barbiano w służbie Giangaleazza Visconti, księcia Medjolanu, obok tych wstrętnych sobie najemników. W niedługim jednak czasie wytopiono ich lub wyparto z Włoch, a Barbiano zasłynął na czele swej Kompanji św. Jerzego jako niezrównany wojownik. On to był wynalazcą przyłbicy i części zbroi, chroniącej szyję, on też zaczął ubierać konie w lżejsze od blach żelaznych pancerze skórzane.

Wiek chwały kondotjerów

Następny wiek historii włoskiej, to epoka świetności kondotjerów. Świadczą o tem wspaniałe pomniki Colleonego i Savellego w Wenecji, Gattamelaty w Padwie. Trudno byłoby tu wyliczać tych mistrzów sztuki wojennej i ich boje, ograniczmy się do paru charakterystycznych postaci i epizodów.

Oto w hufcach Barbiana kształcą się w sztuce wojennej Braccio de Montone, wygnany władca Perugji i chłop z pochodzenia Muzio Attendolo, lepiej znany pod przydomkiem Sforzy, który przyniosła mu gwałtowność usposobienia. Byli w tym czasie serdecznymi przyjacielami i wybrali nawet dla swych ludzi te same kolory. Gdy jednak zaczęli wojować na własną rękę, przeznaczenie stawiało ich raz po raz we wrogich obozach. Sforzy towarzyszyło stale szczęście, Braccio, choć dzielny, często ponosił klęski. Ostat-

nie jednak zdobył Perugję po niesłychanie krwawej bitwie, w której dowiódł prawdziwego mistrzostwa w dowodzeniu. Całe Włochy rozbrzmiewały jego sławą. Rywale spotkali się we Florencji, gdzie wezwał ich papież Marcin V. w r. 1420. Braccio wystąpił z niesłychanym przepychem, a w mieście powstała pieśń na jego cześć, ubliżająca głowie Kościoła, której dwór był skromniejszy.

Dla obu kondotjerów okazało się fatalnem miasto Aquila. Sforza utonął w jego pobliżu, ratując tonącego pazią podczas przeprawy przez wezbraną rzekę Pescara, a Braccio zginął na równinie pod Aquilą w przegranej bitwie z jego synem Franceskiem.

Bo rywalizacja przetrwała w druzgoceniu pokoleniu. Francesco był systematyczny i rozważny, starał się o przewagę liczebną i przyjmował bitwy zwykle tylko wtedy, gdy miał dobre widoki powodzenia. Niccolo Braccio, zwany Piccinino (Malańki), karlik o chorowitym wyglądzie, górował nad nim szybkością manewrów i decyzji. Celował w użyciu kawalerji oraz w zaskoczeniach. I oni ustawicznie mierzyli się z sobą. Sforza wstąpił w służbę Wenecji, Piccinino wynajął się Medjolanowi. Pierwszy oblegał Brescię, a drugi, widząc trudność odsieczy, zwrócił się nagle przeciw Weronie i opanował ją, zanim Sforza otrzymał wiadomość o wyruszeniu nieprzyjaciela z obozu. Teraz Francesco postanowił pokazać, co umie. Mimo, że było to w listopadzie, ruszył z nad jeziora Garda przez śniegiem okryte góry. Wielu z jego żołnierzy doznało strasznych odmrożeń, ale teraz z kolei Piccinino został zaskoczony i Weronę odzyskana. W czasie kampanji nad jeziorem Garda zawdzięczał on ocalenie niemieckiemu rajtarowi, który wziął małego wzrostem kondotjera do worka, zarzucił go sobie na plecy i przebił się przez linję nieprzyjacielską.

Wkrótce potem odwróciła się karta. Piccinino zręcznymi manewrami osaczył zupełnie Franceska, zmieniając go z obleganego w oblężonego. Lecz książę Medjolanu Visconti przeląkł się zwycięstwem. A nuż kondotjer zechce mu narucić swą rolę lub strąci go z tronu? Poza plecami Piccinino zawarto pokój i nie pozwolono mu zgnębić rywala.

W jakiś czas później Piccinino, stary już i schorzały, będąc w służbie papieża, otrzymał polecenie, aby osobiście prowadził rokowania w Medjolanie. Odjeżdżając, Piccinino oddał komendę jednemu z synów, surowo zabraniając mu staczania bitwy. Lecz Sforza wyzyskał sytuację, pobił zupełnie nieprzyjaciela i wziął w niewolę innego syna swego rywala. Wieść o tej klęsce zabiła Piccinina, a Medjolan uczcił go wspaniałym pogrzebem.

Viscontich dosięgło fatum z ręki samego Francesca Sforzy, który, mając dość ich ustawicznych zdrad i intryg, opanował tron Medjolanu, wymusiwszy na księciu rękę jego córki. Oto jeszcze dwa charakterystyczne obrazki.

Wrewnocna bitwa pod Molinellą. Z jednej strony Federico Urbino, sługa Florencji i Medjolanowi, z dru-

giej Bartolomeo Colleoni i Alessandro Sforza z Pesaro, teść Federica, obaj pozostający na żołdzie weneckim. Parę już godzin trwa bój przy świetle pochodni. Nagle Federico spozstrzegł Sforzę i woła: „O Signor mio padre, czy nie sądzisz, że dość na dzisiaj?“ — „Jak sobie życzysz“, brzmi odpowiedź i bitwa ustaje. Na placu leży 300 trupów ludzkich i 400 konskich.

Został zamordowany Boldrino de Panicale. Ludzie jego nie chcą nowego wodza, uważając, że niema człowieka, któryby godny był zastąpić dotychczasowego. — Składają ciało do wspaniałej trumny i noszą ją z sobą, oddając umarłemu cześć, jaką oddawali kondotjerowi za jego życia.

Zmierzch kondotjerów

Pod koniec XV wieku bitwy włoskich najemników nabrały innego charakteru. Zaczęto szczerzyć życia zarówno własnych, jak nieprzyjacielskich żołnierzy. Praktyczniej brać okup, niż zabijać, zresztą po przeciwnej stronie walczą przeciwko koledzy, zawodowi... Wystarczy manewrować, słabszy lub mniej biegły uznaje się za pokonanego, dając sygnał ucieczki lub kapitulując. W najgorszym razie wojśka spotykają się w głębokich kolumnach i pierwsze szeregi wymieniają ciosy, ale nigdy nie trwa to długo. — Macchiavelli, nawołując Włochów do stworzenia obywatelskich armij na wzór rzymskich legionów, opowiada o bitwie, w której zginął jeden człowiek — udusiwszy się w ciężkiej zbroi...

Ma się pod koniec kondotjerskiemu światu. Udoskonalona artylerja jest dla ludzi bądź co bądź prywatnych stanowczo za drogą, tylko książęta mogą sobie na nią pozwolić. Rok 1493 przynosi najazd Francuzów, przyzwyczajonych walczyć naprawdę, wnet zjawia się Hiszpanie, wnet zaczyna rozstrzygać bitwy najemni Szwajcarzy...

Giovanni de Medici

Już w tych warunkach działa ostatni z kondotjerów, Giovanni de Medici. Jest synem Katarzyny Sforza, niewiasty o męskim usposobieniu, która tak dzielnie broniła Forli przed Cezarem Borgią, i jej trzeciego męża, Jana de Medici, ma też w żyłach książęcą krew Viscontich. Od dzieciństwa ćwiczył się w rzemiośle żołnierskiem, werbuje swą „Białą Bandę“, której po zgonie kuzyna, papieża Leona X każe przywdziać żałobę. Od tego czasu następny jego noszą miano Czarnej Bandy, on sam żyje w dziejach jako Giovanni delle Bande Nere.

Jest on tylko połowicznym kondotjerem, gdyż nigdy nie sprawuje naczelnego dowództwa. Gwałtowny, gorący patriota, walczy z zapalem przeciw wrogom Włoch — niestety często ramię przy ramieniu z innymi wrogami i najeźdźnikami. Nie uznaje bezkrwawych metod swych poprzedników. Ludzi dobiera starannie, a ten z nich, który chce otrzymać wyższy stopień, musi w pojedynku z wodzem dowieść, że zasłużył na awans. To też Czarna Banda jest pierwszorzędnym wojskiem, równem nawet i Szwajcarom.

Krótko żył Giovanni de Medici. — Umarł w dwudziestym dziewiątym roku życia, a z nim zesła do grobu chwala Czarnej Bandy i gloria kondotjerów włoskich.

JAN SZARZYŃSKI.

Zatarg dyplomatyczny o książkę

Z początkiem wieku XVII. wybuchł osobliwy i jedyny w swoim rodzaju zatarg dyplomatyczny między dworem polskim i angielskim, tem ciekawszy, że przedmiotem zatargu była — książka.

Mianowicie w roku 1615 wyszło w Krakowie, w drukarni Bazylego Skalskiego dzieło treści polemicznej, napisane w języku łacińskim, pod tytułem: „*Alloquiorum Osiecensium, sive variorum familiarum libri quinque*”.

Jako autor figurował ks. kanonik Kasper Cichocki. Nawiasowo wspomnieć należy, że nowsi badacze za autora tegoż dzieła uważają jezuitę, O. Kaspra Sawickiego.*).

Wspomniane dzieło, znane w literaturze pod tytułem: „*Alloquia Osiecensia*”, należy dziś do białych kruczków, — właśnie naskutek owego zatargu i dalszych jego perypetyj.

Kamieniem obrazu stały się niektóre rozdziały księgi III, w których autor występował w sposób bardzo gwałtowny przeciw ówczesnemu królowi Wielkiej Brytanji, Jakóbowi I, nazywając go tyranem, porównując go z Domicjanem, Neronem, a nawet z Antychrystem.

Jakób I, syn nieszczęśliwej Marii Stuart i Roberta Darnleya, wstąpił na tron angielski w roku 1603, po śmierci królowej Elżbiety. Początkowo usposobiony życzliwie a nawet przyjaźnie do Rzymu, — po wykryciu głośnego „spisku prochowego” stał się nieubłaganym wrogiem katolicyzmu, prześladując bezlitośnie księży i wszelkie pisma teologiczne. Rozciąga ostra cenzurę nad wszystkimi wydawnictwami pojawiającymi się na terenie Anglii, — co więcej, zwraca baczną uwagę nawet i na dzieła, wychodzące poza granicami jego królestwa.

Gdy więc poseł szwedzki w Londynie Jan Skytte zwrócił mu uwagę na wydane w Krakowie dzieło ks. Cichockiego, Jakób I. zapalał gniewem.

On, który w swym własnym dziele „*Basilikon Doron*” (Dar królewski) rozpisuje się o „boskiem posłannictwie monarchów”, nie mógł puścić płazem tej zuchwałej napaści na niego i na królewski ród Stuartów. Postanowił żądać zadośćuczynienia, — i to we formie zupełnie niezwykłej.

Wysłał do Polski specjalnego swego posła, Jana Dickensona, zaopatrzywszy go w odpowiednie pismo uwierzytelniające. I oto na posłuchaniu u króla Zygmunta III, dnia 20 października 1615, Dickenson w długiej mowie łacińskiej, we formie coprawda grzecznej, ale katerycznej, stawia królowi Zygmuntovi III warunki i żądania swego pana i mocodawcy. Domaga się zatem by 1) *występni za ogrom swej zbrodni podlegli karze*, 2) *książka została zakazana*, 3) *wszystkie jej egzemplarze publicznie na rynku spalono*, 4) *ktos z dygnitarzy miał przy tem spaleniu przemowę, wyjaśniającą powód spalania i szkaradę przestępstwa*, — i wreszcie 6) *by Waśa Królewska Mość poświadczyć raczyła w piśmie łacińskim, iż wymyślił Cichockiego są tylko oszczerstwem i kłamstwem — i że W. król Mość trwać będzie zawsze w przyjaźni z krewnym i bratem swoim, ilekroć tego okoliczności wymagać będą*.

Zygmunt III znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Jako żarliwy katolik czuł żywą niechęć do inowierców, a specjalnie do Jakóba I, którego uważał za antagonistę władzy papieskiej. Znamu też były krzywdy i prześladowania, na jakie narażeni byli katolicy w Anglii pod rządami Jakóba I.

Z drugiej jednak strony wchodziły tu w grę ważne momenty dyplomatyczne i ówczesna sytuacja polityczna. Zygmunt III potrzebował pośrednictwa Anglii w swich rokowaniach z Gustawem Adolfem. Moment ten zaakcentował też niedwuznacznie w swej oracji Dickenson, oświadczając niemal cynicznie, iż Jakób I. nie uchyla się od pośredniczenia w tej sprawie, ale uzależnia je od uzyskania poprzednio żądanej satysfakcji. Jednym słowem: jak się da, to się zrobi...

Względne dyplomatyczne przeważały. Ale nie możemy zgodzić się ze zdaniem Cz. Lechickiego, jakoby

Zygmunt III. dał zadośćuczynienie „z niewątpliwym uszczerbkiem swych suwerennych praw”.

I owszem, odpowiedź udzielona Dickensonowi przez kanclerza Feliksa Kryskiego „meza uczonego i wymownego, znanego z gorliwości w rzeczach wiary”, nacechowana jest powagą i godnością.

Oświadczył tedy Krycki, że J. król. Mość tę część dzieła, zawierającą wycieczki przeciw Jakóbowi I. i jego przodkom z rodu Stuartów, *jakoby nie wspólnego z religją katolicką i prawami katolickimi nie mającą*, — potępia i to publicznie oświadcza.

Ze dalej autor dzieła podpada wyłącznie jurysdykcji kościelnej, zatem w tym kierunku król Zygmunt III. zupełnie ingerować nie może.

Ze J. król. Mość poleci, by magistrat miejscowy według przepisów prawa ukarał drukarza, który dzieło to wydał.

Natomiast nad żadaniami jakiejś publicznej pisemnej deklaracji ze strony Zygmunta III. przeszedł Krycki poprostu do porządku.

Jak z powyższego wynika, prestiż króla Zygmunta III. został w pełni uszanowany; potępienie zaś osobistych napaści i wycieczek przeciw rodowi Stuartów jest rzeczą zupełnie zrozumiałą i wytłumaczalną — i pod tym względem panujący europejczy przestregali zawsze zasad pewnej wzajemnej kurtuazji.

Książka ks. Cichockiego (jak podaje Siarczyński w swym „*Obrazie wieku Zygmunta III.*”) została na rynku publicznie spalona. Miało to ten skutek, że posiadacze egzemplarzy tej książki tem troskliwiej je poukrywali, a dziś dzieło to stało się rzadkością.

Czy drukarz krakowski poniósł jakąś karę, — o tem kroniki milczą. W każdym razie pewnem jest, że ks. Cichockiego, czy właściwego autora książki żadna kara nie spotkała.

(kr.)

Szlakiem duszy kobiecej

Jest rzeczą pewną, że „*Dziennik*” Marji Janowej Kasproviczowej zaliczyć trzeba do jednej z najciekawszych i najbardziej interesujących ksiązek. Ostatnio ukazały się dwie jego ostatnie części pod znamienymi podtytułami „*Bunt*” (cz. III.) i „*Pojednanie*” (cz. IV.). Ci, których interesuje poezja Kasproviczowska, znajdą w nich szereg ważnych szczegółów uwypatniających znakomicie postawę twórczą, jaką zajął poeta w swych utworach z ostatniego okresu, przede wszystkim zaś w „*Moim świecie*”; „*Dziennik*” Kasproviczowej stanowi znakomity komentarz do zbioru wierszy, objętych wymienionym tytułem, a stanowiących drugą „*Księgę ubogich*”.

Równocześnie jednak „*Dziennik*” Marji Kasproviczowej jest przewodnikiem po szlakach duszy kobiecej. Mówi w nim Autorka nie tylko o swoich przeżyciach i wzruszeniach, ale daje równocześnie obraz ideji, które określają jej postawę wobec szeregu zagadnień życiowych. Będąc żoną poety, a więc człowieka, który „dużo daje ale i dużo wymaga”, nie zrezygnowała ze swej autonomji duchowej, ze swej indywidualności na rzecz męża; kształtowała własną rzeczywistość. I dlatego jest rzeczą zrozumiałą, że w

konsekwencj, tego stanowiska musiał się w niej pewnego dnia zrodzić **bunt**, mężczyźni bowiem instynktownie znoszą i boją się tego, kiedy kobieta zdobywa własny swój świat. Nietrudno zrozumieć, gdzie się mieściło źródło buntu.

Poeta mówił: „Największe zadanie kobiety — to poświęcenie się dla twórczego człowieka. Jest to może żądaniem od niej bohaterstwa, bo z natury rzeczy człowiek twórczy, wogóle męczyzna, nie może dużo czasu kobiecie poświęcać. Wygląda nieraz, jakby o niej zapomniał, lecz kobieta nie powinna się tem zrażać. Powinna jej wystarczyć świadomość, że jest mężczyźnie potrzebna, że pomaga mu w pracy już samym faktem, że jest gdzieś w jego pobliżu... Mężczyzna nie poświęca się. Może tylko kobiecie to zadanie ułatwiać”.

A tymczasem **kobieta myślała**: „Potrzebuję wstrząsów — zrywków, zmian, spotkania z nowymi ludźmi, przeniesienia do innego środowiska, chwytania słów, powiedzianych w innym języku, aby czuć, że żyję, by być na szczycie fal”.

Trudno, naprawdę, nie przyznać, o ilez bardziej przemawia do człowieka to drugie stanowisko, które streszcza się w **chęci zgodnego życia z naturą**, o ilez jest mu ono bliższe **życiowo**...

Zajęcie jednak takiego stanowiska nie jest wyrazem postawy **czynnej** w stosunku do świata, gdyż ścieśnia zakres poznania do wrażeń i doznań **zmysłowych**, nie otwierając nowych widnokręgów. Zajęcie takiego stanowiska decyduje również o poddaniu się **prawom łatwej etyki naturalnej**.

„*Bunt*” i „*Pojednanie*” dowodzą czynnej postawy Autorki wobec życia. **Stale dążenie wzywać kosztownej walki z samą sobą, kosztem wyrzeczenia się** — oto istotna treść „*Dziennika*” Marji Kasproviczowej. W „*Buncie*” doszła do głosu kobieta, upominająca się o swoje **prawo do życia**, które wabi ją wszystkimi barwami i blaskami. W „*Pojednaniu*” jesteśmy świadkami przezwyciężenia tej idei i równoczesnego wzniesienia się kobiety na wyższy poziom etyczny, którego podstawę stanowi **zdolność wyrzeczenia się**. Należy zrozumieć — pisze Marja Kasproviczowa — że kobieta przez walkę i zmaganie się z życiem dochodzi do jej **prawdy**, bo nie narzuconej jej przez nikogo cnoty.

I dlatego „*Dziennik*” żony poety, będący **historją konfliktu między postulatami natury a obowiązkiem**, jest zwierciadłem, w którym kobieta współczesna snadnie przejrzeć się może i powinna.

WŁADYSŁAW PAŃCZAK

Kościół na Kahlenbergu

W dziejach odsieczy wiedeńskiej 1683 r. poważne miejsce zajmuje kościółek pod wezwaniem św. Józefa na Kahlenbergu pod Wiedniem, gdzie legat papieża Inocentego XI. O. Marek D'Aviano odprawił ostatnie przed walną bitwą nabożeństwo, do którego służył mu król Jan Sobieski i w czasie którego przyjęli komunję św. i uzyskali błogosławieństwo apostolskie wszyscy wodzowie wojsk sprzymierzonych.

Ze wzgórza Kahlenbergu, na którym stoi kościół, wyruszyły hufcy sprzymierzonych do głównego ataku na horde turecką. — Kościółek św. Józefa na Kahlenbergu został wybudowany w roku 1627 jako kaplica klasztoru O. O. Kamedułów powołanych przez cesarza austr. Ferdynanda II. z Włoch za poradą polskiego marszałka wielkiego koronnego Mikołaja Wolskiego, a pierwszymi mieszkańcami kamedulskich domków pustelniczych byli O. Sylwan

hr. Boselli z 4 mnichami.

Jeszcze wewnątrz niezupełnie wykończony kościół został dnia 7 lipca 1683 r. wraz z całą pustelnią przez Turków spalony.

Kwestja, czy pustelnia na Kahlenbergu była rzeczywiście punktem wyjścia odsieczy wiedeńskiej i czy rzeczywiście tam się odbyło ostatnie posiedzenie rady wojennej oraz odprawiona historyczna msza św. O. Marka D'Aviano, została stanowczo wyjaśniona zapoznaniem naocznych świadków królewicza Jakóba i inżyniera Dupont'a, ponadto zaś listem O. Marka do cesarza Leopolda I. z dnia 27 grudnia 1692 r. w którym radzi on cesarzowi by kościół i pustelnię kazał co rychlej odbudować jako pamiątkę historyczną, tak drogą dla cesarstwa i chrześcijaństwa.

Odbudowę kościoła i domków pustelniczych ukończono w r. 1693 i tegoż roku 6 listopada powrócili tam O. O. Kameduli.

Jak grom z jasnego nieba spadła na pobożnych mnichów klęska, gdy oto dekretem cesarza Józefa II. z 2 lutego 1782 r. został zakon O. O. Kamedułów rozwiązany, kościół zamknięty a wartościowe sprzęty kościelne i dzieła sztuki zrabowane i wystawione na sprzedaż, zostały nabyte przez radcę dworu Krieglę za cenę 28.550 fl.

Nabywca majątku kościelnego oddał go kościołowi, postarał się o ponowne poświęcenie tego kościoła i wyjednał utworzenie tam parafji.

Stan ten trwał do roku 1809 w którym zamieszki wojenne spowodowały zniesienie parafji a kościół został profanowany.

Dopiero w roku 1849 przystąpił wiedeńczyk, majster ślusarski, Jan Finsterle do odbudowy kościoła własnym kosztem, a w roku 1852 w 169 rocznicę odsieczy Wiednia została tam odprawiona pierwsza msza św.

Odtąd pozostaje kościół pod stałą

* A. Sokolowski: „Spór o książkę”. A. Kraushar: „Poselstwo Dickensona do Zygmunta III.”, Cz. Lechicki: „Mecnat Zygmunta III”.

Dotychczasowe zdobycze telewizji

Telewizja — to dziś ostatni krzyk mody. Jest ona przedmiotem rozmów kawiarnianych, niejednej powieści stanowi ona zasadniczy wątek, wiele filmów jest osnutych około jej zdobyczy.

Właśnie jednak ten fakt, że tyle się o niej mówi i niejako śni, jest powodem zacierania się w poglądach szerokiej publiczności tego, co jest w zakresie telewizji istotnym osiągnięciem, a co jest tylko marzeniem, ewentualnie dopiero projektem do zrealizowania. W rezultacie są jedni, którzy uważają, że wszystko co się mówi i pisze o telewizji jest bajką, trudzą znów są zdania, iż zdobycze telewizji są kompletne i doskonałe.

Jak się rzecz ma w istocie? Otóż chcemy to dziś pokrótce przedstawić.

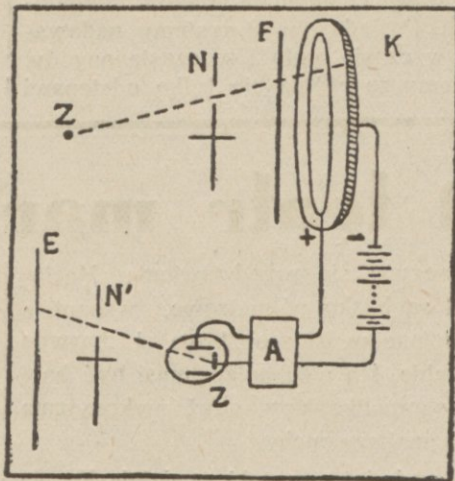
Telewizja stawia sobie trzy stopniowe zadania. Pierwsze, najbardziej proste polega na wyłączeniu czasu przy obrazach (przy telefonii chodzi o wyłączenie czasu przy przekazywaniu głosu dźwięków); chodzi mianowicie o odtworzenie na odległość (na dystans) obrazu, tekstu, lub fotografii, zapomocą kolorów czarnego na białym. Zadanie to było rozwiązywane w pierwszym okresie rozwoju telegrafii elektrycznej zapomocą pantelegrafu Caselli'ego teraz zaś służy do tego celu z zadziwiającą szybkością i wiernością belinograf. Tak tedy wielkie dzienniki zagraniczne przynoszą nam fotografie wczorajszych morderców przesłane zapomocą drutu, kabla lub drogą radiową. Pierwsze więc zadanie telewizji zostało zrealizowane.

Przechodzimy z kolei do następnego. Tu chodzi o przekazywanie na odległość obrazów w ruchu, także zapomocą kolorów czarnego na białym, podobnie jak to się dzieje w kinematografii rzucającej na ekran rzeczy w ruchu. To drugie zadanie telewizji, czy to drugie stadium jej rozwoju, jest w tej chwili na tapecie, nauka jest w trakcie jego rozwiązywania.

Trzecie i ostatnie stadium rozwoju telewizji wyrazi się w przekazywaniu na odległość rzeczy tak jak one się rzeczywiście przedstawiają w ich kolorach i wypukłościach. O tem stadium wypadnie pomyśleć i szczegółowo pomówić dopiero wtedy, gdy drugie stadium będzie całkowicie rozwiązane. Teraz przy niem właśnie pozostaniemy.

W obecnym stanie wiedzy niema sposobu, któryby pozwalał na przekazywanie obrazu czy to stałego, czy ruchomego odrazu i w całości; trzeba tedy odwołać się do metody analitycznej, t. zn. narysować odnośny obraz zapomocą punktów zaznaczanych jeden za drugim. W istocie, przyroda nie postępuje inaczej, gdy obraz z siatkówki przechodzi do mózgu, który go sobie odtwarza, zapomocą włókien nerwowych łączących się z odpowiednimi punktami obrazu. To też czy się posługujemy aparatem niemieckim Korna, czy aparatem francuskim Barthélemy'ego czy aparatami amerykańskimi, które wyszły ze słynnych laboratoriów Bella, istota postępowania, jest zawsze ta sama. Film F (fig. 1) jest potężnie oświetlony z tyłu snopem światła idącym ze źródła Z. — Między światłem a filmem mamy tarczę, obracającą się, podziurkowaną spiralnie. Jest to tarcza Nipkowa N. Gdy snop światła pada na film, to dzięki obrotom tarczy Nipkowa oświetlane są kolejno poszczególne jego punkty. Następnie światło to ulega modulacji już na samym filmie, zależnie od tego, czy pada

na jego części czarne, czy jasne, czy szare.



Po przejściu filmu światło zmodulowane jak wyżej pada na powierzchnię komórki fotoelektrycznej K, która wyraża w prądzie elektrycznym zmiany świetlne, a mianowicie każdemu punktowi ciemnemu filmu odpowiada przerwa prądu, każdemu zaś punktowi białemu natężenie prądu do maksimum. Przekazywanie dokonywa się przy napięciu niezwykle niskim, skoro prąd przechodzący przez drut nie przekracza jednej miliardowej ampera. Na szczęście istnieje sposób jego wzmacniania bez zniekształcenia; zapomocą amplifikatora A o wielu płaszczyznach można doprowadzić prąd do dostatecznego natężenia. Pozostaje tylko doprowadzić go zapomocą drutu, kabla i drogą radiową (ta ostatnia stwarza jeszcze komplikacje specjalnie, tak że jeszcze dziś nad tą drogą przechodzi się do porządku) do stacji odbiorczej.

Oto obraz został zastąpiony przez prąd; jego różne punkty zamiast rozstawienia w przestrzeni są uszeregowane w czasie, ponieważ każdy punkt filmu stworzył kolejno prąd proporcjonalny do swej nieprzejrzystości. Chodzi teraz przy odbiorze o odtworzenie przekształceń poprzednich w odwrotnym kierunku, a przede wszystkim trzeba wrócić od elektryczności do światła. Jest to transformacja, którą film dźwiękowy czyni dostępną naszemu pojmowaniu, lecz która przy telewizji musi być wykonana z szybkością, wykluczającą użycie galwanometrów lub oscylografów magnetycznych. Należy sobie bowiem przedstawić, że cały cykl operacyjny winien się odbyć w ciągu niecałej dziesiątej części sekundy — taki jest czas trwania wrażeń świetlnych. Po tym czasie nowy obraz zastąpi poprzedni, który z kolei ma być przekazany i odtworzony. Z drugiej zaś strony należy wziąć pod uwagę, że technicy przyjmują, że do odpowiedniego przekazania na odległość zwykłego obrazu, trzeba go rozłożyć na 1.200 punktów minimum, cała zaś scena, taka, jaką się rzuca na ekran w kinie wymaga 40.000 punktów, zatem 40.000 razy w ciągu jednej dziesiątej sekundy promień świetlny musi podlegać zmianom swego natężenia, natychmiast wyrażonym w prądzie. Trzeba tedy, żeby aparat odbiorczy był zdolny w jednej czterysto milionowej sekundy do wyrażenia przerw i natężeń prądu we wrażeniach świetlnych. Istotnie tylko elektryczność może działać z wystarczającą szybkością.

Przy odbiorze tedy posługujemy się snopem światła (Z') modulującym się według przekazanego prądu. Przy tej sposobności spostrzega się że nasze żarówki o drucikach metalicznych są za mało podatne do tego użytku, natomiast promieniowanie świetlne gazu posiada właściwie pożądaną szybkość: światło mianowicie wychodzące z rurki Geisslera zgadza się niemal co do jednej milionowej sekundy ze zmianami prądu, który przezeń przechodzi.

Prąd tedy elektryczny przechodzi przez rurkę Geisslera i teraz wrażenia świetlne rzuca się na ekran E. Gdzie zaś te poszczególne wrażenia świetlne mają paść, to już wskazuje druga tarcza Nipkowa N', oczywiście pod warunkiem że obie tarcze N i N' są i identyczne i identycznie wykonują obroty. To synchronizowanie tarcz Nipkowa było problemem niezwykle trudnym, ale dziś jest ono całkowicie rozwiązane.

Teoretycznie jest tedy problem telewizji rozwiązany i w swym drugim stadium, polegającym na przekazywaniu obrazów ruchomych. W istocie rzecz ma się inaczej. Obrazy odtworzone na ekranie są niezwykle mgliste i blade. Jest wprawdzie specjalny aparat przeznaczony do ich oświetlenia, ale rezultaty nie są jeszcze w pełni dodatnie.

Możemy się tylko pocieszyć tem, że wynalazcy w odnośnej dziedzinie utrzymują, iż zagadnienie teoretycznie jest już rozwiązane, podobnie, jak zadania należące do trzeciego stadium telewizji, a chodzi tylko o trudności techniczne, które stopniowo będą pokonane.

W.

Entuzjaści odrodzenia kulturalnego Wielkopolski

(Wywiad z redaktorem „Wici Wielkopolskich”, Marjanem Turwidem)

W chwili kiedy rozmowa nasza schodzi na tory zagadnień literacko-regionalnych, twarz Marjana Turwida ożywia się.

— Kilkanaście lat temu — mówi — Wielkopolska nie miała własnego wyrazu kulturalnego. Publicystyka polska po r. 1830, nazwiska Raczyńskiego, Kasprowicza, Przybyszewskiego — to były tylko świetne, ale mało żywe wspomnienia. Wielkopolska była ugiem, na którym nie było miejsca na kwiaty. To przekonanie leżało u podstaw naszej działalności. Ono też wpłynęło na kształtowanie się naszego programu, oraz wpłynęło niewątpliwie decydująco na sposoby jego realizacji.

— Jak da się streścić idea przewodnia Waszych dążeń?

— Stworzenie atmosfery odpowiedniej dla kultury umysłowej, dla ruchu kulturalnego i artystycznego — oto cenz naszych poczynań. Uczyniwszy region centrum naszych zainteresowań, rezygnujemy pozornie z lotów podniebnych, z zagadnień wielkich, zawiązanych w sobie treści ogólnoludzkie. **Przywiązanie do stron rodzinnych i miłość ziemi** są motorami naszej twórczości, która, wychodząc od rzeczy drobnych, ale najbliższych, pragnie swą bezpośredniością i prawdą przeżyć przykuwać uwagę i wzruszać. Dla nas regionalizm nie jest tylko kwestją tematyki, czy też mniej lub bardziej oryginalnej formy; chodzi nam przede wszystkim o artystyczne ujęcie tych zasobów treściowych, które uwyraźniają się w momencie zdania sobie sprawy z **najbardziej istotnego związku, jaki zachodzi między twórcą a podglebiem**, z którego wyrósł.

— Jakże zatem znaczenie należy przypisać tak pojętemu regionalizmowi dla rozwoju kultury?

— Podkreślić przede wszystkim należy dwukierunkowość regionalizmu, który, parafrazując słowa Mickiewicza, lewym skrzydłem o przeszłość, a prawem o przyszłość uderza. I wła-

nie w tem odwoływaniu się do przeszłości przy równoczesnym działaniu dla przyszłości mieści się istotny sens regionalizmu.

Z kolei rozmowa przerywa się na nazwiska regionalistów, skupionych dokoła „Wici... Jest ich narazie niewiele, każde jednak stanowi poważną najczęstszą pozycję w ruchu kulturalnym Wielkopolski. **Stanisław Czernik, Jan Piechocki, Stanisław Helsztyński, Alfred Jesionowski, Alfons Szyperski, Teodor Paluna, Janusz Deresiewicz, Miecz. Dereżyński, Wojciech Bąk, Artur Marja Świnarski, no i Marjan Turwid** — oto indeks nazwisk „Wiciowców”.

Wszyscy owiani są jedną przedewszystkiem myślą, którą dr. Jan Piechocki ujął następująco („Wici Wielkopolskie”, nr. 19): „**U s u w a m y k a m i e n i e u g o r n e**” — i to stanowi pierwszy punkt naszego „programu”. Do tej roboty, szarej i znoonej, nie trzeba genjuszów; starczy, jeśli się znajdzie odpowiednia liczba pilnych pracowników. W miarę postępowania roboty wpragnie się pracowników lepiej wykwalifikowanych, to i praca będzie inna. Odległy etap. Niech rola stanie się odpowiednia pod uprawę, a wtedy zaida się ogrodnicy. Społeczeństwu (wielkopolskiemu — przyp. red.), które zaledwie zna alfabet kultury umysłowej (przynajmniej jako ogół), nie powie Norwid, Rilke, czy Hone-Wronski. Tylko genjusze mogą przekroczyć szkołę powszechną i szkołę średnią i zapisać się odrazu na uniwersytet”.

W ślad z tego rodzaju sformułowaniem programem — idzie działalność kulturalna „Wiciowców”. — Rzecz jasna, że regionalizm jest dla nich odskocznią talentów. — Ideowa i często formalna odrębność, pomnożona o solidną robotę poetycką — to cechy zasadnicze ich twórczości poetyckiej.

Nader również ciekawa fizjognomję posiada proza „Wiciowców”. Jednak, zgodnie z założeniem programem,

troska o należyty rozwój kulturalny regionu leży u źródeł każdego ich wysiłku. Przejęci tą ideą, tworzą, wydają tomiki poezji, odrabiają zaległości bibliograficzne, urządzają wieczory poetyckie po całej Wielkopolsce, redagują „Wici” i t. d. Tą myślą zdołali już opętać umysł światły i duszę nawskróś artystyczną — p. **Andrzeja Prądyńskiego** z Wrześni, — który im zarówno swe „Wici” jak i „Bibliotekę Wici” (pomyślcie, pomyślcie) niemal za bezcen w swej oficynie drukuje. — Przyjdzie też nam o tej ich działalności niejednokrotnie jeszcze pomówić.

„...grunt uczynny żyzny,
by kwiaty mogły kwitnąć
polach ojczyzny,
by robotnica plugów, zamknięta
kieratem
i wtłoczona w codziennej pracy
ciężkie żarna,
przestała być warsztatem i tylko
warsztatem
wytwarzającym ziarna...”

Tak woła refren hymnu-apelu poetyckiego. Rzeczywistość — trzeba i należy to stwierdzić — daje mu coraz głośniejszy i mocniejszy odzew

(wl. p.)

Wystawa skarbów

Podczas kongresu archeologicznego w Budapeszcie wystawiono na widok publiczny najcenniejszy zbiór przedmiotów z epoki paleontologicznej — dwa inne istniejące w Dublinie i w Kopenhadze, stanowczo ustępują węgierskiemu wartością i obfitością. Składa się on prawie wyłącznie z prymitywnej w dzisiejszym pojęciu biżuterji kobiecej ze złotych diademów, branzolet i naszyjników. Są również pierścienie, złote, brązowe i żelazne, oraz pas wysadzany perłami.

Zbiór można oglądać tylko wyjątkowo miejsce, gdzie go przechowują, znane jest tylko kilku wtajemniczonym. Podczas jamborze harcerskiego w Gödöllő wystawiony był na widok publiczny na kilka godzin. W takich wypadkach czuwa nad nim cały zastęp strażników muzealnych i detektywów.

